

DANIEL WYSZOGRODZKI
SYCYLIADA

MARGINESY

COPYRIGHT © BY Daniel Wyszogrodzki

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2026

Prolog

Morze było tego dnia spokojne. Wyszedł z domu, dźwigając zawiniątko. Drzwi, których nigdy nie zamykał, zatrzasnął nogą. Jak zwykle o tej porze oślepiło go słońce. Był poranek i tafla wody, oglądana z wysokości płaskowyżu, wydawała się biała, podobnie jak niebo, stapiające się z nią na odległym widnokręgu. Szedł pewnym krokiem ku krawędzi urwiska, trzymając tobołek oburącz, ale wiedział, jak trudno będzie mu utrzymać równowagę na stromej i wąskiej kamienistej ścieżce. Schodził zatem ostrożnie, a morze odzyskiwało jasnoniebieski kolor, w miarę jak zbliżał się do jego lustra, lekko tylko pofałdowanego w porannym wietrze. Szum fal stał się wyraźny, dopiero kiedy znalazł się nad pomostem. Oprócz jego łodzi kołysało się tu kilka starych bojek do sieci, pozostawionych dawno przez rybaków, którzy albo o nich zapomnieli, albo stracili ochotę, żeby pomalować je olejną farbą na żółto, jak Bóg przykazał, jak wypadało, jak robili to na wyspie od pokoleń. Na szczęście morze było tego dnia spokojne. Na szczęście?

Ostrożnie złożył zawiniątko na deskach pomostu. Zmusił się, by na nie spojrzeć: obły kształt owinięty żeglarskim płótnem i starannie obwiązany liną. Nic nie poczuł. Poszedł na koniec pomostu po betonowy obciążnik, w schowku na rufie miał liny

różnej długości, nigdy ich nie używał. Starannie przeniósł tobołek do łodzi, nie bez trudu położył na jej drewnianym dnie obciążnik, łódź zakołysała się, gdy postawił na niej nogę. Odwiązał cumę, odepchnął się od pomostu i zajął miejsce na siedzisku. Rozłożył wiosła. Już po kilku minutach złapał rytm i zaczął się oddalać od urwistego brzegu, który o tej porze szybko gubił cień. Słońce wznosiło się coraz wyżej, ale do południa było jeszcze daleko i skała, którą nazywał Kaukazem, prezentowała się majestatycznie, odstawiając ostre, spadające ku morzu krawędzie.

Odплыnął kilkaset metrów od brzegu, chociaż głębina zaczynała się znacznie wcześniej – kamieniste dno gwałtownie się obniżało, a przezroczysta woda stawała się granatowa tuż za końcem pomostu. Przez chwilę pozwolił łodzi unosić się na falach, poddał się jej kołysaniu i dopiero wtedy poczuł, jak mocno pali go słońce. Zapomniał przewiązać głowę chustą, a zawsze to robił, kiedy wypływał łodzią. Szybkim ruchem naciągnął ją na ociekającą potem głowę i ponownie spojrzał na tobołek. Otworzył klapę schowka na rufie i wyciągnął pierwszą linę, na jaką trafiły palce. Była za długa, ale teraz to nie miało znaczenia, przywiązał jeden koniec do metalowego uchwyty w obciążniku. Drugi, luźny, trzymał w rękach, aż poczuł, że łodzią zakołysało nieco bardziej, fala podnosiła się o tej porze, wiatr wzmacniał się nieznacznie przed południem. Przywiązał linę do zawiniątka.

Wychylił się za burtę, zaczerpnął dłonią wody i zwilżył nią chustę. Stał, pewnie balansując na ugiętych nogach. Od początku wiedział, że nic nie powie; nie było nic do powiedzenia. Schylając się, zanurzył obciążnik i powoli, oburącz oddawał linę, a kiedy się naprężyła, zrozumiał, że już nie podniesie zawiniąt-

ka, nie ma jak przytulić go do piersi. Dopiero wtedy zaszlochał. Stał bezradny, zapatrzony w obły kształt. Przyklęknął na dnie łodzi. Spróbował utrzymać linę lewą ręką, żeby prawą przynajmniej pogłaskać tobołek, ale lina wymknęła mu się z uchwytu i szarpnęła zawiniątko, które uderzyło głucho w burtę, odbiło się, po czym przepadło w granatowej toni.

Gdy w powrotnej drodze wspiał się na urwisko, zobaczył Marię czekającą na ścieżce prowadzącej do jego domu. Pomyślał, że dziewczynka przyglądała się ze skarpy całej ceremonii, kiedy on, skupiony na wiosłowaniu, a może na leżącym na dnie łodzi tobołku, nie zwracał uwagi na to, co się dzieje na lądzie. Ale mógł się mylić, może szła dopiero w stronę wysokiego brzegu – zobaczyć, czy nie ma na morzu jego łodzi. Od pewnego czasu regularnie sprawdzała, co robi, czasami odnosił wrażenie, że go śledzi. Maria zagrodziła mu drogę, zatrzymał się. Zbliżało się południe, zauważył, że oboje prawie nie rzucają cienia.

– Pochowałeś Nino?

– Pochowałem Nino.

– Gdzie? W morzu, prawda?

– Tak. Marynarski pogrzeb.

– Dobrze tak? Do wody i ani śladu?

– To jest właśnie najlepsze.

– Ale ty chcesz mieć grób z marmuru, co? I pewnie na północy?

– Nie wygłupiaj się. Ani śladu.

Wyminął dziewczynkę, a kiedy się oddalał, zawołała za nim:

– Dostałeś list, Polacco! Jest w Tawernie.

Poniedziałek

Jak w każdy poniedziałek obudziła go Rosalia. Usłyszał otwieranie drzwi, wstał i poszedł do łazienki. Gdy wrócił do sypialni, kobieta właśnie się rozbierała. Podeszedł do niej nagi. Rosalia zrzuciła już sukienkę, powoli, metodycznie zdejmowała teraz bieliznę. Właśnie metodycznie – nie robiła tego w sposób zmysłowy ani kusicielski, nie epatowała pożądaniem, ale ta miarowość jej ruchów rozpalała go najbardziej.

Wolno zdjęła halkę, Rosalia zawsze nosiła halkę pod sukienką. Rozpięła i zdjęła stanik, ale zatrzymał ją gestem i zbliżył się do niej. Lewą dłonią dotknął jej twarzy, potem piersi. Przywarł całym sobą do jej brzucha. Zaraz będzie z niej pić jak ze źródła, za chwilę się położą, ale nie spieszył się, łóżko czekało na swoim miejscu. Pocałowali się, a kiedy oboje byli już nadzy, przesunął dłoń na jej pośladek, ścisnął go i puścił, ponownie ścisnął i ponownie puścił. Rosalia wpijała się w jego usta, teraz trzymała go oburącz za głowę i przyciskała do siebie. Masował jej pośladki, przyciskał się do jej brzucha, do jej łona, lubił włosy, które tam miała. Chciał je rozgarniać palcami i ustami, ale stali tak jeszcze przez chwilę, nie odrywając się od siebie, ich ramiona skrzyżowane, dłonie sięgające po tajemnice, które nie traciły nic z tajemniczości.

Położyli się. On na plecach, ona przy nim, na nim i nad nim. Rosalia nie wypuszczała go z ręki, ścisnęła rytmicznie, on miętosił jej piersi, obfite, ciężkie. Nagle odsunęła głowę od jego głowy. Pocałowała go jeszcze, ale już samymi wargami. Wtulił się w nią, wsunął język do ucha, przesunął ustami po szyi. Upajał się dotykaniem jej ciała, wchłaniał jej zapach, zawsze chciał, żeby trwało to jak najdłużej. Nie wierzył, że coś tak pięknego jak zanurzanie się w Rosalii mogłoby być grzechem, za to nie miał wątpliwości, że grzechem byłby pośpiech.

Usiadła na jego udzie i mocno się w nie wcierała. On bawił się jej piersiami, unosił je i opuszczał, lubił czuć w dłoniach ich ciężar, otaczał palcami jej duże ciemne sutki, a kiedy sam usiadł, całował je i wypychał je sobie do oczodołów. Rosalia nie miała nic przeciwko, sama lubiła całować jego zamknięte oczy.

Rosalia potrafiła dawać i brać. Uwielbiał, kiedy działo się to jednocześnie. Teraz zastygł w oczekiwaniu, bo kobieta drgnęła, jej mocne pośladki napięły się – pozostawił jej wybór, czy nadzieje się na niego, czy usiądzie mu na twarzy. Wybrała to drugie, jakby czytała w jego myślach, nie, nie jakby – czytała w jego myślach. Dawać i brać. Włosy, które czuł na policzkach, niekiedy wydawały się szorstkie, czasami zbyt ostre, ale to była cena rozkoszy, która niech trwa nieprzerwanie, cena, jaką gotowy był płacić w każdy poniedziałek rano, a bywało, że nawet w południe, kiedy nie mogli się sobą nasycić. Miłość francuska po włosku zostawiała w jego ustach smak Rozalii.

Gdy w końcu nadziała się na niego, usiadła tyłem, wybierała tę pozycję, kiedy chciała, żeby wchodził w nią najgłębiej. Obejmował jej talię, masował pośladki, jego dłonie w zgodzie

z choreografią jej napinających się mięśni. Co za uczucie, co za widok. Kiedy przerwała, przejął inicjatywę. Uniósł się, a Rosalia przechyliła się do przodu, położyła się twarzą na pościeli, zastygła. On także zastygł, ten widok za każdym razem wprowadzał go w zachwyt graniczący z osłupieniem, to była tylko chwila przerwy, ale ta chwila musiała się wydarzyć, oboje o tym wiedzieli. Nachylił się i zanurkował w nią głową naprzód, tak jak się skacze do wody albo rzuca w przepaść. I nic go nie obchodziło, czy jej nektar daje nieśmiertelność i wieczną młodość, bo kiedy brał go na język, czuł się wiecznie młody, czuł się nieśmiertelny.

A potem długo klaskał biodrami o jej spocone pośladki, jakby bił brawo całemu dziełu stworzenia. Na koniec zaś, w ciągu owych kilku lepkich minut, kiedy Rosalia, spocona i rozdygotana, była jeszcze bliska, choć już zaczynała się oddalać, uciekał młodości i znów miał tyle lat, ile miał, ale i to przestawało go obchodzić, bo pozostawał jej smak na języku i tylko to się liczyło, i tylko ten smak powinien być wieczny.

Kilka słów. Kilka słów, które zakłóciły cały misternie zbudowany porządek. Albo raczej zakwestionowały jego równowagę, chociaż na taką refleksję było za wcześnie. Ile lat minęło? Może dziesięć? Powiedziałby, że więcej, tak dalekie było jego dawne życie, ale uświadomił sobie, że mieszka na wyspie mniej niż dziesięć lat. Z nikim się nie związał i bezwarunkowo nie zamierzał tego robić. Okazjonalne flirty z turystkami zaspokajały z nawiązką jego głód wrażeń, a do tego były niezastąpiona Rosalia i poniedziałkowe poranki. To mu wystarczało. Żadnych zobowiązań, nie po to tu przyjechał. Przyjechał tu, aby raz na zawsze oderwać się od

wszelkich zależności, wypłatać z pajęczyny związków – towarzyskich, zawodowych. I udało mu się, a może tylko miał szczęście, bo robił to, co chciał. Pił, co chciał, jadł, co chciał, i sypiał, z kim chciał, może tylko czasami, z kim popadło. Pisał. Po to żył, przy najmniej przyjął taką wersję siebie. A do tego mieszkał w raj: suchym, spalonym słońcem, biednym, ale jednak w raj. Miał swój dom, swoją skałę i swój widok, którego nie zamieniłby na żaden inny. Niczego w swoim życiu by nie zamienił, czuł się uprzywilejowany. Kiedy przed laty postanowił żyć samotnie, nie spodziewał się, że jego samotność będzie tak piękna. Lubił swoje życie, a były chwile, kiedy prawie lubił siebie. A może odwrotnie? Ale wtedy przyszedł ten list. Właściwie kartka pocztowa – ze zdjęciem zdradzającym nie tylko nadawcę, ale być może także jego intencje. To znaczy jej. I przestraszył się. Pierwszy raz od lat poczuł niepokój – przed nieznanym, przed możliwą utratą. Czego? Spokoju? Tak. Powtarzalności codziennych rytuałów? Tak, tak. Dystansu do życia? Tego chyba najbardziej. Dystansu do ludzi? Czy coś było w stanie skrócić ten dystans? Albo ktoś?

> Wiem, że tam mieszkasz. Wybieram się na Sycylię.
Jeśli chcesz, żebym Cię odwiedziła, daj znak:
takajagaja@gmail.com. Mam nadzieję, że się odezwiesz.
Pozdrawiam – G.

Kilka słów, które zakłóciły cały misternie zbudowany porządek. Albo raczej zadały kłam wszystkiemu, co skrupulatnie wymyślił na swój temat i w co następnie uwierzył.

Kiedy wszedł do Tawerny tamtego koszmarne dnia, gdy pochował Nino, jej szef Kosma podekscytowany pomachał do niego zza lady. Tak, to była sensacja – list do Polacco zaadresowany na „Tawernę”, biała koperta, brak nadawcy. Adres zawierał jego imię i nazwisko, zapisane poprawnie kobiecą ręką, nazwę miejscowości i nazwę knajpy, jakby co najmniej w niej mieszkał. Z domu do miasteczka miał kilkanaście minut pieszo, bardzo rzadko odpalał samochód. Wystarczyło, że doszedł żwirówką do asfaltu i skręcił w lewo, a w oddali pojawiały się pierwsze zabudowania miasteczka, a raczej mieściny, w której postanowił spędzić resztę życia.

Tawerna pod szyldem Tawerna stała przy niewielkim placu nazwanym Piazza Grande, z którego rozciągał się obłędny widok na morze, bardzo podobny do tego, jaki podziwiał ze swojego Kaukazu, może nawet taki sam, chociaż niechętnie by to przyznał. Knajpa zajmowała duży narożny budynek po zachodniej stronie placu i wychodziło się z niej na zawieszony nad portem taras. Port to za dużo powiedziane – była to raczej przystań, rybacka marina – taras Tawerny był największą atrakcją miasteczka. Obszerny i w części zacieniony, porośnięty rachityczną winoroślą, oferował nielicznym klientom wiarygodną iluzję słodkiego życia, przy butelce lokalnego wina albo przy posiłku popijanym grappą.

Wszystkie włoskie restauracje nieodparcie go przyciągały, ale do tej przyciągnął go właśnie taras. Może nawet sprawił, że okrążając wyspę, zatrzymał się w tej dziurze. Najpierw był stolik z widokiem i butelką białego wina z miejscowych upraw. Potem spróbował kuchni i okazała się wyśmienita – na całej

Sycylii podawano ryby, ale tutejszy miecznik nie miał sobie równych. Kiedy delektował się nim po raz drugi czy trzeci, dosiadł się do niego szef. Okazał się Grekiem, paradoks wyspy, na której krzyżowały się wszystkie szlaki świata. Gdy on sam już tu zamieszkał, został stałym bywalcem, choć niemniej chętnie gotował sobie w domu.

Tawerna była jedynym w miasteczku miejscem spotkań, tutaj poznał wszystkich mieszkańców, tutaj zaczęto go nazywać *lo scrittore polacco*, a potem już tylko Polacco. Kiedy zaprzyjaźnił się z Kosmą, ochrzcił go w duchu mianem Greka Wiecznego Tułacza, czego zresztą nie potrafił przetłumaczyć precyzyjnie na włoski. Tłumacz tułacz. Szef kuchni miał za sobą życie wypełnione podróżami, a gdyby dać wiarę jego opowieściom, zaliczył na Morzu Śródziemnym więcej portów niż święty Paweł. Cel jego wędrówek pozostawał niejasny, szeptano więc, że był uciekinierem, jednak Kosma nie sprawiał wrażenia, że się ukrywa. Przeciwnie, był człowiekiem otwartym i towarzyskim, a poruszał się z taką energią, że kręcone włosy, które opadały mu na ramiona, zdawały się nie nadążać za jego postacią.

Tamtego dnia, kilka tygodni wcześniej, po pochówku na morzu, Kosma pomachał do niego, kiedy tylko przekroczył próg Tawerny. Za dnia wiązało się to z częściowym osłepieniem, oczy potrzebowały czasu, żeby zorientować się w panującym wewnątrz mroku. Kiedy przywykły, Kosma szedł już ku niemu z kopertą w dłoni. Towarzyszyły mu spojrzenia kilku klientów, którzy do południowego kieliszka wybrali chłód mrocznego wnętrza. Koperta z jego nazwiskiem? Na jego wyspie? W miasteczku kryjówce? W knajpie u Greka? I czyje to pismo?

– Polacco, ktoś cię szuka! – wołał Kosma.

– Wygląda na to, że mnie znalazł – odpowiedział i ponownie poczuł niepokój.

– Nie wiesz, od kogo to? – Grek nie zamierzał rezygnować z zabawy. – To ja ci powiem. Urząd skarbowy albo alimenty. Bo kto inny wysłałby coś takiego na mój adres?

– Tu nie ma twojego adresu. Ktoś napisał „Tawerna”, mogło ich być kilka.

– Ale jest tylko jedna. I tylko jeden Polacco, zgadza się?

I tylko jedna Gaja. Nie znała jego adresu, dowiedziała się natomiast, gdzie mieszka. I chciała go tu odwiedzić. Gaja, o której udało mu się zapomnieć. Naprawdę mu się udało. Może to właśnie dlatego teraz się odezwała? Bo kim dla niego była? To pytanie powróciło jak bumerang, odrzucił je od siebie dawno i daleko, a teraz odnalazło go w postaci białej koperty z pocztówką w środku i uderzyło widokiem kościoła na skarpie wznoszącej się ponad „rowem, którym płynie mętna rzeka”, jak opisał to poeta. Teraz dopiero przestraszył się na dobre. Tamtych poetów także odrzucił, czyżby mieli tu wrócić razem z nią? Grad bumerangów? Nie chciał ich tu, byli poetami innego nieba, on wyznawał teraz szkołę *azzurro*. I poezję suchej ziemi, czyli prozę, bo otaczała go ziemia prozaicznie jałowa. Gaja była studentką, z którą kiedyś się spotykał. Jego studentką. W tamtym życiu. Gaja była kobietą, której nie dotknął.

Główna ulica w miasteczku nazywała się Via Verdi, ale podszedł do tego bez uprzedzeń. Uznawał pełną wyższość Monteverdiego nad Verdim i nie było w tym żadnej filozofii. Nie znosił muzyki Verdiego organicznie i było to jego największą tajemnicą.

Na Sycylii nikogo nie obchodziło, jakie ma poglądy. Nikt go tu nawet nie zapytał, dlaczego nie chodzi do kościoła. Chodził na śluby, na pogrzeby i czasem w święta – dla podtrzymania dobrych stosunków z sąsiadami. Ale nie mógł się przyznać do niewiary w Verdiego.

Ulica Via Verdi ciągnęła się z zachodu, stanowiąc północny bok prostokąta Piazza Grande, i to ona prowadziła do jego domu, przebiegając dalej na wschód i łagodnie opadając, w miarę jak obniżał się płaskowyż. Rzadko jeździł w kierunku zachodnim, zresztą w przeciwnym też niezbyt często. W ogóle rzadko wyjeżdżał z miasteczka, dzisiaj jednak musiał to zrobić. Minęło kilka tygodni od dnia, w którym odebrał list, teraz otwierała się puszka z konsekwencjami. Może niekoniecznie puszka Pandory, ale raczej nie spodziewał się bombonierki. Po porannym spotkaniu z Rosalią poszedł do Tawerny. A był to wyjątkowy poniedziałek, przed wyjazdem na lotnisko. Czego szukał w Tawernie, bo przecież nie kawy. Chciał powrócić na chwilę do punktu granicznego? Do punktu między tym, co znajome, a tym, co nieznane? A może upewnić się, że jego wyspa nie jest jednak bezludna? Że ma tu przyjaciół, którzy do tej pory właściwie nie byli mu potrzebni? Czyżby zbierał siły? Przed czym? Przed konfrontacją? Przed niewiadomą? Przed Gają?

Na odcinku historycznej części miasteczka nawierzchnia Via Verdi wyłożona była płytami z białego marmuru, tak wypolerowanymi przez koła wozów, że niektóre z nich przypominały lustra – ciemne i lśniące. Przechodząc tamtędy, zastanawiał się nad mądrością ludzi, którzy nie wylali na nie asfaltu. Wystarczyło zakazać wjazdu obcym samochodom, przez co plac nie zamienił

się w parking i zdołał go tylko stary klomb z oleandrami, których przycinanie należało do obowiązków Kosmy. Grek chwalił się, że robi to za darmo, dodając, że najwyżej raz w roku. Na placu od strony morza stała zabytkowa fontanna, ale rada miejska już po wojnie podjęła decyzję o jej wyłączeniu. Powodem była panująca na płaskowyżu susza. Zresztą permanentna. Dająca się we znaki tak samo w czasach, kiedy wybudowano fontannę, jak i pół tysiąca lat później.

Napisał Gai po kilku dniach:

> Brawo! Inteligentne posunięcie z Tawerną.

Skąd wiedziałaś, gdzie mieszkam?

Odpisała mu szybko, szybko i krótko:

> Czy to ważne? Grunt, że cię znalazłam, prawda?

Masz ochotę się spotkać?

Wtedy już miał. Na początku wmawiał sobie, że tego nie chce, ale nie był ze sobą szczery. Zwyciężyła ciekawość. Bo co innego? W dniu, w którym pochował Nino, po poranku na morzu, kiedy właśnie zamierzał zakończyć tamten dzień i spędzić resztę czasu, pijąc białe wino na tarasie domu i wpatrując się w morze, a więc w dniu, w którym odebrał przesyłkę, niczego nie był pewien, poza tym, że ziemia zakolysała się pod nim tak jak wcześniej łódka. Gaja powróciła. Powróciła, zanim przyjechała, zanim jej nawet odpisał. Od tej pory opanowała jego myśli, wytrąciła go z rytmu pracy, jej dawny obraz zaczął

powracać przed snem. Bo przecież nie wiedział nawet, jak teraz wygląda.

Po osiedleniu się na Sycylii zerwał większość kontaktów z krajem – poza kilkoma do spraw zawodowych. Nawet jeżeli przestali go wystawiać, nadal wydawano tam jego książki, poza tym stale napływały tantiemy za wcześniejsze realizacje, transmisje, cytaty. Ale z sieci zniknął. Usunął dawny adres poczty, nigdy nie był aktywny w mediach społecznościowych, wyłączył wszystko, co wiązało się z jego osobą. Wydawca aktualizował mu hasło w Wikipedii – raz na dwa, trzy lata. Ośrodkiem jego zawodowej aktywności szczęśliwie stał się Londyn, z krajem najchętniej zerwałby wszelkie kontakty, nie zależało mu na publikacjach, ale wtedy by już nie był *lo scrittore polacco*. A to go w pewnym sensie określało – tu i teraz, w jego nowym życiu.

Odczuwał silną pokusę, żeby poszukać zdjęć Gai w internecie. Nie chciał wchodzić na portale, nie robił tego od lat, musiałby założyć fałszywe konto, a przecież nie po to odciął się od kontaktów w sieci. Niczego nie „lajkował”, nigdzie nawet nie zaglądał. Szybko się przekonał, że nie jest mu to potrzebne, ale teraz obudziła się w nim ciekawość, ta z kolei dała początek pragnieniu. Jak nigdy wcześniej zapragnął ją zobaczyć, przekonać się, że się zmieniła, nie przypomina dawnej siebie. Przekonać się, że jego niepokój jest nieuzasadniony, że Gaja jest mu obojętna.

> A jak wyglądasz? Zestarzałaś się choć trochę?

> Trochę tak, ale wyglądam nieźle. Tak mówią 😊

> Jakoś nietrudno mi to sobie wyobrazić...

> Jesteś pisarzem. Masz wyobraźnię!

Czy miał wyobraźnię? Już dawno pogodził się z tym, że jej nie ma. Starał się nie pisać o sobie, ale obawiał się, że o niczym innym nie potrafi. A że coraz bardziej nudził się sobą, pisał coraz mniej i coraz wolniej. Najchętniej spędzał całe dnie na tarasie, czasami schodził popływać do morza, przyzwyczał się do stromej ścieżki. Pił wino, coraz więcej białego wina. Wędrował po plaży z psem, który miał na imię Nino. Włóczyli się kilometrami. Uwielbiał muzykę Nino Roty, ale w okolicy nikt nie kojarzył psa z kompozytorem. Wszyscy kojarzyli psa z nim, a jemu to odpowiadało. Ale teraz Nino już nie było i ludzie w miasteczku powtarzali, że Polacco został sam.

> Słyszałam, że ładnie tam u Ciebie. Mogę się zatrzymać w hotelu, żeby nie robić Ci kłopotu. Zjemy razem coś dobrego, porozmawiamy. Może mi pokażesz okolicę? Jeżeli masz czas.

> Mam czas. Chyba wiesz, czym się zajmuję. Jestem panem swojego czasu.

> Prawdziwy szczęściarz! Kto dzisiaj może powiedzieć coś takiego?

Po zmierzchu zwykle zostawał w domu, nie tracił wieczorów na siedzenie w Tawernie i rozmowy o niczym, chociaż biegłość we włoskim zawdzięczał w głównej mierze tym rozmowom. Poza tym nauczył się gotować. Na Sycylii wszyscy gotowali, kuchnia nie była tu sztuką, jak na Półwyspie Apenińskim, była religią. Coraz mniej czytał, niestety coraz rzadziej słuchał też muzyki – i jedno, i drugie zaczęło go nudzić.

Kiedyś uwielbiał muzykę, miał niezłą płytotekę, ale pozbył się jej przed wyjazdem, podobnie jak tony książek. Zabrał ze sobą tylko karton winyli, trochę z przyzwyczajenia, ale nigdy ich potem nie słuchał. Gdy się już odciął, a odciął się bardzo szybko, to od razu od wszystkiego, co łączyło go z poprzednim życiem. Płyty ułożył na półkach wokół gramofonu, sprawdziły się jako dekoracja. Sporadycznie kupował jakiś archiwalny longplay na pchlim targu w Sciacce, ale niemal wyłącznie z włoską muzyką popularną, którą zaczął doceniać, a nawet lubić. Albo z ludową muzyką Sycylii czy Maghrebu.

Nowej muzyki przestał słuchać po pięćdziesiątce. O tak, przekroczył już pięćdziesiątkę. Nie poczuł różnicy, ale wiek to wiek i czasami o sobie przypomina. Nie narzekał ani na kondycję, ani na erekcję, lecz przy włoskiej biurokracji musiał czasami wypełniać *Codice Fiscale*, nic innego jak PESEL, tylko nazywa się tu ładniej. Data urodzenia nie znajdowała się co prawda na krzyczącej pierwszej pozycji, ale jednak się tam czaiła i przypominała o sobie przy wypełnianiu papierów. Za nic miał swoją datę urodzenia, mimo to nie mógł się nadziwić, jak szybko to minęło. A przecież zrobił wszystko, żeby zatrzymać czas w miejscu. I na początku nawet mu się to udawało. Chyba.

> Napisz mi coś o sobie. Ciekawa jestem, jak Ci się tam żyje. Jakiej muzyki teraz słuchasz i co piszesz. Zdradzisz mi coś, zanim się zobaczymy? A potem pokażesz swój nowy świat?

> Przychodzi mi do głowy, że Twoje zainteresowanie jest zgoła zaskakujące (ale nie przywiązuj się do tego przysłówka i pod żadnym pozorem nie traktuj go rozłącznie). Owszem, piszę i słucham. Ale coraz mniej piszę i coraz rzadziej słucham. A Ty?

Przeczytał to przed wysłaniem i od razu usunął. Co się z nim dzieje? Zgoła? Można mu zarzucić różne rzeczy, ale nie był pretensjonalny. „Pogadamy, jak przyjedziesz – napisał. – Ty coś tam o mnie wiesz, ja o Tobie nic” – dodał jeszcze i wysłał.

Najczęściej kończyło się na tym, że siedział w ciszy. Pisał. Kolejną książkę nie-o-sobie. Różniła się tym od poprzednich, że wymyślił innego nie-siebie. Zawsze tak robił, to była jego pisarska tajemnica. Nie wyobrażał sobie tworzenia fikcyjnych bohaterów, chociaż prawdziwa literatura opierała się właśnie na bohaterach. Kiedy pisał wstał-spojrzał-wyszedł-wypił-zasnął-umarł, kiedy używał czasownika albo wyobrażał sobie pokój-samochód-park, kobietę z zamglonymi oczami, przerażenie w oczach ofiary, zadawał pytanie: kto wstał, kto wyszedł, kto siedł przez park, kto się kochał, kto groził? To przecież nie mógł być nikt obcy, nikomu obcemu nie poświęciłby ani jednej strony.

Obecnie pisał książkę, której ukończeniem jego wydawca był zainteresowany bardziej niż on sam. Czasami śmiał się w duchu, że gdyby kończył powieść o sobie, to powinien skończyć ze sobą. Raził go pretensjonalność tego gestu, chociaż na pewno wpłynąłby korzystnie na sprzedaż. Zbliżał się do zakończenia, ale nie wiedział jeszcze, jakie ono będzie. Jego – z braku lepszego słowa – „bohater”, ten nowy nie-on, a może inny on, lepszy

albo gorszy on, musiał dokonać trudnego wyboru. A chociaż mogło się wydawać, że jest to wybór pomiędzy dwiema kobietami, w rzeczywistości był to wybór pomiędzy życiem a życiem. A nawet pomiędzy życiem a nieżyciem. Wymyślił trzy możliwe zakończenia, wszystkie były gotowe i każde na swój sposób rozstrzygające. Wystarczyło wybrać jedno z nich i napisać ostatni rozdział. Kilka godzin pracy.

> Naprawdę nic o mnie nie wiesz? No cóż, nie jestem znaną osobą... Ty jesteś :-) Od kilku lat pracuję jako kierowniczka literacka w teatrze (czasami mówią dramaturżka). Nie powiem Ci w którym, nie zapomniałam, że to śliski temat. Sam sprawdź, jak chcesz. Nareszcie przydają mi się studia, marzyłam o takiej pracy. Powiem Ci więcej, jak się zobaczymy. Napisz mi o sobie!

> „Powiem Ci więcej, jak się zobaczymy”. Proponuję ustalić sprawy logistyczne: odbieram Cię z lotniska, zatrzymujesz się u mnie tak długo, jak chcesz, mieszkam sam, mam w domu część gościnną, osobną sypialnię z łazienką. I tak, pokażę Ci swój świat, a przynajmniej okolicę. Zresztą na jedno wychodzi. Subiektywnie uważam, że jest tu ładnie. Obiektywnie też. Na jedno wychodzi.

Jego łódź była kolorowa, jak wszystkie sycylijskie łodzie. Brązowa poniżej linii wodnej (farba schodziła, ale przekładał remont

z roku na rok), ozdobiona na burtach trzema pasami – niebieskim z czerwonym szlakiem, a niżej szerokim białym – i nie różniła się od większości drewnianych łodzi, jakich używali tu rybacy. Nigdy w życiu nie złowił ryby. Za to samochód miał biały, co na Sycylii wyglądało nieomal na prowokację.

Nie znosił czarnych samochodów, uważał, że to kolor dla gangsterów i polityków, zresztą w jego pojęciu jedni byli warci drugich. Właściwie podobały mu się wszystkie samochody z wyjątkiem czarnych. Zdecydował się na Jeepa, było to jego chłopięcym marzeniem, bodaj ostatnim niespełnionym. Uzasadniał to sobie racjonalnie: napęd na cztery koła przyda mu się na sycylijskich bezdrożach, poza tym samochód z dachem był bez sensu – szkoda słońca, powietrza, widoków. Wybrał zatem Wranglera Saharę w wersji dwudrzwiowej i w kolorze pustyni, ale nabrał wątpliwości, czy nawiązanie do Sahary, o której myślał codziennie, ale która znajdowała się jednak po drugiej stronie morza, nie będzie w nim budzić niepotrzebnej tęsknoty. W końcu poczuł lekki ból głowy i po długim procesie decyzyjnym, ku swemu zdumieniu, ale także – postanowił się nie oszukiwać – ku swojej ogromnej uldze, zdecydował się ostatecznie na kolor biały.

Do wyboru były dachy twarde i miękkie, a że kompletnie nie znał się na motoryzacji, uległ namowom dealera w Palermo i wziął oba. Duży błąd. Twardy dach od dnia zakupu zajmował tylko miejsce w garażu, gdzie zbierał kurz – założenie go wymagało pomocy drugiej osoby, poza tym nie było takiej potrzeby. Zainstalował dach miękki, ale przez dwa miesiące ani razu go nie zamknął, więc zdjął go w końcu i rzucił na twarde. Zastanawiał się, czy nie dać ogłoszenia o sprzedaży obu, ale zrezygnował.

Prawdopodobnie łatwiej będzie kiedyś sprzedać wóz z opcją na dwa dachy. A zresztą w garażu miał pełno miejsca, poza Jeepem trzymał tam tylko kartony z winem.

Napęd na cztery koła też mu się nie przydawał, bo nie jeździł bezdrożami, a jego żwirówka, prowadząca od asfaltowej szosy do domu, nie wymagała terenówki, za to tak kurzyła, że jedynym czystym miejscem w aucie pozostawał fotel kierowcy. Od dealera w Palermo wyjechał białym Jeepem, który już nigdy później nie był biały. Nie mył samochodu prawie nigdy, czasami tylko przecierał go z kurzu. Nie przeszkadzało mu to przez te wszystkie lata, dopóki nie zaczął się szykować do wyjazdu na lotnisko. Spojrzał na auto innym okiem i przeraził się tym, co zobaczył. To nie był samochód, którym można było odebrać z podróży elegancką kobietę. W pośpiechu wyjechał przed garaż, podłączył szlauch i zlał Jeepa zimną wodą z nadzieją, że szybko wyschnie na słońcu. I wóz wysechł szybko, tyle że wyglądał jeszcze gorzej.

– *Buffone*, wodą to się auto płucze po myciu, a nie przed – usłyszał za plecami. Kiedy mała Maria podśmiewała się z niego, nazywała go w ten sposób. Albo kiedy była na niego zła, co także się zdarzało. – Mogę pokazać ci, jak się myje samochód. Oczywiście nie za darmo. Mąż Teresy bierze dziesięć euro, ale tobie się spieszy.

– Mario, bardzo cię proszę. Nie targuj się ze mną, po prostu wyświadczyć mi przysługę, wiesz, że ze mną nie stracisz. – Dostrzegł nadzieję na rozwiązanie sytuacji. Teresa prowadziła w miasteczku piekarnię z pizzerią, sprzedawała również domowe makarony, innych nie kupował od lat. Jej mąż miał jedyny

warsztat samochodowy w promieniu kilkunastu kilometrów, co wcale nie oznaczało, że często był zajęty.

– Z tobą to ani stracić, ani zyskać – odpowiedziała mała mądrała. – Przynieś mi płyn do naczyń z kuchni i jakiś ręcznik na straty, bo szmaty to pewnie nie masz, co?

Miał szmatę, oczywiście, że miał. Rosalia trzymała u niego wszelkie przybory do sprzątania, pobiegł do kuchni i wrócił po minucie. W tym czasie Maria napełniła wodą znalezione za domem wiaderko i przystąpiła do mycia samochodu. Robiła to metodycznie i starannie, od razu poczuł ulgę. Sprawdził tylko czas w telefonie.

– Masz pół godziny – rzucił jej przez ramię i pobiegł do domu wziąć prysznic.

– Mam cały dzień. – Ta mała robiła się bezczelna. – To ty masz pół godziny.

„A jak tam córka? Masz inne dzieci?” – napisał w mejlu, ale od razu go skasował. Co go to właściwie obchodziło? Zresztą mieli sobie porozmawiać, więc i tak się dowie. Doskonale pamiętał jej córkę, miała wtedy kilka lat, dwa, a może trzy. Potem cztery? Czyli wcale nie pamiętał jej tak doskonale. Miała na imię Loyola, to znaczy inaczej, ale Gaja chciała, żeby jej syn nazywał się Ignacy, więc...

„A jak Loyola?” – zaczął mejla od początku. Ale po chwili skasował i te słowa. Bo co właściwie chciał napisać? Po co naprawdę tu przyjeżdżasz? Dlaczego przypominałaś sobie o mnie po tylu latach? Czy wiedziałaś, że jestem sam? Za dobrze mi tu było?

Budził się, kiedy Rosalia wchodziła do domu. Czasami przynosiła jakieś zakupy, środki do czyszczenia i stawiała je na stole

w kuchni. Włączała ekspres do kawy i mieliła ziarna. Wiedziała, że ten zapach działa na niego jak afrodyzjak, po kilku chwilach docierał do sypialni, rozsuwane drzwi czekały otwarte. Na początku ich znajomości, a raczej „współpracy”, bo teraz tak chciał to widzieć, Rosalia od razu zabierała się do sprzątania. Odpowiadało mu, że przychodzi w poniedziałki i sprząta cały dom po weekendzie, czasami wypijali razem kawę, zawsze w kuchni, Rosalia nie chciała się rozsiadać na tarasie, choć on nigdy jej nie poganiał. Polubił jej towarzystwo, na długo zanim ich współpraca uległa rozszerzeniu, była jedyną osobą, która bywała u niego regularnie – w każdy poniedziałek rano, przez cały rok. Zwykle wychodził na taras, kiedy sprzątała, nie chciał kręcić się po domu, żeby jej nie przeszkadzać. Czasami siedł na Kaukaz, bo pracowała zwykle przez kilka godzin, wstawiała mu pranie, zdarzało się, że przy okazji gotowała obiad dla siebie i córki, jedna porcja była wtedy dla niego.

Rosalia mieszkała na wzniesieniu, nieco dalej od krawędzi urwiska, mijał jej dom, kiedy szedł od siebie do miasteczka. Była jego najbliższą sąsiadką – ona i jej córka, mała wścibska Maria, która po szkole snuła się po okolicy, a dopiero wieczorem oddrabiała lekcje. Podobno. Rosalia pracowała w Tawernie i dziewczynka sama spędzała popołudnia i wieczory. Przychodziła do niego pobawić się z psem, karmiła okoliczne koty, które – omijając z dala jego dom – gromadziły się wokół domu jej matki. Kupował jej karmę dla kotów, całe worki, kiedy tylko jechał na zakupy do miasta, co nie zdarzało się zbyt często, chociaż w ich miasteczku nie było supermarketu. Kiedy Maria trochę podrosła, zainteresowała się jego komputerem, a kiedy miała już własny,

i tak lubiła zaglądać do niego, bo miał szybszy internet. Ściągała sobie piosenki na telefon.

Sąsiadka pracowała u niego za dobrą stawkę, ale bez ekstrawagancji – to była górna granica widełek obowiązujących w okolicy, połowa stawki z północy. Nie dodawał jej ani centa za część łózkową, odebrałaby to jako obelgę. Robili to dla przyjemności, tak przyjęli i na to faktycznie wyglądało, co ciekawe, nigdy nie zamienili słowa na ten temat. Zaspokajał ją, czuł to. To dlatego i chyba tylko dlatego oddawała się z nim łózkowemu rytuałowi. Zawsze w poniedziałek i tylko w poniedziałek. U niego bywały na początku różne kobiety, Rosalii nigdy nie odwiedził w domu mężczyzna.

Jadąc po Gaję do Trapani, zastanawiał się nad słowami z mejla. Wróciły do niego, bo dźwięczał w nich dysonans. Czy naprawdę miał wyobraźnię? Dawno w to zwątpił. Pisał książki, jednak wyobraźnia nie była mu do tego potrzebna, bo to nie ona była jego paliwem, miał system wariacyjny, jak w muzyce. Kiedy wyobrażał sobie inne wersje siebie, to nie była wyobraźnia, najwyższy rodzaj „wariacji” na temat, na własny temat, przeglądanie się w różnych zwierciadłach. Czasami pozwalał powieściowemu bohaterowi ujawniać odmienne cechy charakteru i zajmować się innymi rzeczami, jego bohater mógł żyć gdzie indziej, a nawet kiedy indziej, ale jednak zawsze był to inny on. Próbował sobie wmówić, że jest inaczej, jednak nie potrafił się do tego przekonać. Zapytany o genezę postaci, poszedłby w zaparte: „To tylko fikcja, nie ma nic wspólnego ze mną”. Jednak nikt go nie pytał o takie rzeczy, przynajmniej na Sycylii. Żadna z jego książek nie ukazała się po włosku, chociaż londyński agent starał się je tu sprzedać.

Jechał prosto na północ. Pierwszy etap drogi przebiegał przez krajobraz, który mógł odstraszyć najbardziej zapalonych obieżyświatów. Lubił ten rejon, a nawet odczuwał coś w rodzaju wdzięczności, wiedząc, że go chroni, że jest rodzajem fosy. Nędzny krajobraz skutecznie odstraszał ludzi od wypadów na ten odcinek południowego wybrzeża, bo po co jechać nad morze przez te wypalone słońcem ugory, gdzie nie ma śladu upraw ani skrawka cienia, a rzadko napotykanii ludzie wyglądają, jakby wyłoniли się z dawnych obrazów malowanych na drewnie. Sycylia to wyspa, prędzej czy później zawsze wyląduje się nad morzem, ale to wyspa, która oferuje tak wiele atrakcji, że doprawdy szkoda tracić czas w zachodnim Agrigento – *Pruvincia di Girgenti*, mówiąc w miejscowym dialekcie. Nawet przewodniki pomijają ten rejon, owszem, cała Sycylia jest piękna, ale przy tak licznych wspaniałościach można darować sobie miejsca, zresztą nieliczne, które nie mają do zaoferowania niczego ciekawego, co najwyżej piasek z Sahary, bo kiedy wyspę smaga powracający na wiosnę sirocco, najsilniej uderza w południowe wybrzeże. Jeśli ktoś lubi piasek, niech jedzie na Saharę.

Łatwo powiedzieć. Zrobiło mu się gorąco, dawno nie podróżował tak daleko, a było dopiero wczesne popołudnie. Nagle pomyślał, czy pęd gorącego powietrza nie będzie przeszkadzał Gai, może ma skomplikowaną fryzurę, może wyjdzie z samolotu w kapeluszu, Jeep Wrangler to nie był samochód do odbierania damy z lotniska. Ale innego nie miał, więc odrzucił te myśli. Najwyżej zdejmie kapelusz, przecież nie będzie go przytrzymywać przez całą drogę. A może damy tak robią? Zaraz, dlaczego przyjął, że Gaja jest damą? Bo zapowiadała się na damę? Wspomnienia,

wspomnienia. Mijał krajobrazy znajome, bo identycznie płaskie, jego miasteczko też otaczały blade nieużytki. Widok zmienił się, dopiero kiedy minął Castelvetro, pojawiły się gaje oliwne, ubożuchne, wynędzniałe, jednak zaczynało to przypominać „słoneczną Italię” – wcześniejsze widoki mogły należeć do arabskich czy też meksykańskich pustkowi.

W czasie spędzonych tu lat miewał gości, ale to były kontakty zawodowe, nikomu nie musiał się tłumaczyć, dlaczego mieszka właśnie tutaj, nikt zresztą nie zadałby mu tak niestosownego pytania. Chwileczkę, przypomniał sobie – nikt poza Rosalią, prawda? Ale był przekonany, że tym razem to pytanie nieuchronnie padnie i nie będzie niestosowne, będzie oczywiste, więc musiał przygotować się do odpowiedzi. Dlaczego zamieszkał właśnie tu? Nigdy nie powie Gai całej prawdy, mogłaby tego nie przeżyć.

Przed Nuova Gibellina teren stawał się pofalowany, a uprawy prezentowały się bardziej okazale, sprawiały za to wrażenie porzuconych. Nigdzie nie widział ludzi, zbliżała się połowa września, ale oliwki w tej okolicy były późne i na razie samodzielnie walczyły ze słońcem. W miarę oddalania się od południa krajobraz łagodniał. Dopiero w Alcamo skręcił na zachód w kierunku Trapani i naciągnął na oczy daszek bejsbolówki, jechał teraz prosto pod słońce, nie szkodzi, że było ono jeszcze całkiem wysoko. Sprawdził czas, nie miał powodów do niepokoju. Na lotnisku Birgi był wiele razy i zapamiętał, że przed samym Trapani wreszcie zaczynają się palmy. Na przedmieściach faktycznie pojawiły się pojedyncze karłatki, których widok zawsze poprawiał mu nastrój. Jeszcze w kraju powtarzał, irytując znajomych, że jak nie ma palm, to nie ma życia. I że gotów

jest emigrować do ciepłych krajów, tylko dlatego, że są ciepłe. Wszyscy mówili o ociepleniu klimatu, tymczasem jemu zawsze było za zimno. Nazywał to emigracją klimatyczną. Półżartem, półserio, ale naprawdę marzył o życiu na wyspie.

> To mi jeszcze napisz, że z tarasu widać morze,
a przy pomoście masz łódź.

> Z tarasu widać morze, a przy pomoście mam łódź.

Kameralne lotnisko w Trapani przyklejone było do bazy wojsk lotniczych, ale od lat obsługiwało także ruch pasażerski. Parking był rozległy, ale tego dnia prawie pusty, po sezonie nie spodziewał się zobaczyć tutaj tłumów. To Gaja proponowała wrzesień, co zresztą niczego nie zmieniało – jego kalendarz znał tylko dwie pory: sezon na tuńczyka i sezon na miecznika. Wrzesień to okres przejściowy, więc można się było nacieszyć jednym i drugim.

Zatrzymał Jeepa prawie przed samym wejściem i od razu poczuł, że powierzchnia parkingu jest gorąca jak płyta pieca, ruch samochodu dawał zwodnicze uczucie chłodzenia. Rozedrgane powietrze stało w miejscu, to dobrze – Gaja będzie mieć spokojne lądowanie. Pasy lotniska kończyły się nad samym brzegiem morza, pamiętał, że widok z pokładu jest piękny. Na zachód od miasta wyrastały wyspy, granatowe morze strzelało w niebo białymi grotami żagli, zawsze był tu ruch na wodzie. Z portu w Trapani odpływały promy do Tunisu, kilka godzin i jesteś w Afryce, oglądasz z pokładu ruiny Kartaginy, bo nawet jeśli Rzymianie nie zostawili tam kamienia na kamieniu, to potem sami odbudowali miasto, zbyt dobre miało położenie.

W sali przylotów na szczęście było chłodno, przy pierwszym bistro poszukał serwetek i dokładnie wytarł pot z czoła. Sprawdził czas i podbiegł do toalety, żeby umyć twarz i szyję. Zachowywał się nerwowo, ta wizyta wytrąciła go z codziennej rutyny, w której od dawna nie zdarzyło mu się niepokoić i czekać, a już na pewno nie spieszyć. Czasami czekał w Tawernie, aż Kosma przyniesie mu coś specjalnego, ale nie miał wątpliwości, że warto, a teraz nie wiedział, czego się spodziewać, poza tym w Tawernie umiał sobie oczekiwanie, patrząc na morze i popijając białe wino. Tu nie było na co patrzeć, wina wołał nie zamawiać, chociaż miał na to wielką ochotę, a bar w rogu sali zachęcał galerią butelek – nawet z odległości rozpoznawał znajome etykiety. Chłód był miły, ale atmosfera zamkniętej przestrzeni niedobrze na niego wpływała, odzwyczaił się od takich miejsc, żył pod niebem. Na kilka minut przed lądowaniem samolotu poczuł nieodpartą ochotę na kieliszek Alcamo, właściwie to już nie ochotę, a pragnienie, ale początkowe opory wzięły górę i postanowił wytrzymać – w bistro, które przywitało go na lotnisku, zamówił doppio i wypił je dwoma łykami. Nie mógł przywitać Gai z podejrzanym oddechem, a gdyby tak bała się wejść z nim do samochodu?

Wyłapał ją spojrzeniem, kiedy tylko zaczęli wypływać pierwsi pasażerowie. Stała nieco z tyłu, spokojnie czekając na swoją kolej, i oczywiście miała na głowie kapelusz, elegancki słomkowy kapelusz, czarny z szerokim rondem, a zamiast twarzy wystawały spod niego dwa czarne szkła okularów przeciwsłonecznych. Oczywiście zrobiła się na gwiazdę w włoskim stylu, albo w takim, który mógł uchodzić za włoski na podstawie oglądanych filmów.

Ciemna bluzka w grochy i białe spodnie. Zbliżała się, chyba go jeszcze nie widziała, chociaż nie mógł być tego pewien przez te cholerne okulary, no tak, zapomniał, jaką miała drobną buzię, zaczęła się rozglądać i nagle jej twarz – a więc jednak była tam twarz, to pierwsza dobra wiadomość – nagle jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Odpowiedział uśmiechem, pomachał jej, ale nieśmiało, zganił się za to – co ja wyprawiam, zachowuję się jak na pierwszej randce, a przecież już dawno mieli za sobą ostatnią. Szła prosto na niego, oczekującego pod baldachimem bistro, filiżanka po kawie nie zdążyła wystygnać, mam dobry smak w ustach, pomyślał.

– Pachnie tu kawą – stanęła tuż przed nim, bardzo blisko. Zdjęła okulary i zamrugła. Uśmiechnęła się i pocałowali się w policzki, objął ją lekko, była szczupła jak gałązka, jak... jak kiedyś, taką ją pamiętał, zawsze była bardzo szczupła, nie lubił chudych kobiet, ona była wyjątkiem. Niewiele się zmieniła, ale nie zdążył się jej dobrze przyjrzeć, nie chciał robić tego ostentacyjnie, dopiero teraz zauważył, że ma walizkę, sporą jak na tutejszy klimat, czarną na kółkach, pospieszył z pomocą, przejął bagaż.

– Witaj na wyspie – odpowiedział. – Zwykle pijemy tu wino, ale miejscowa tradycja zakazuje picia wina w poniedziałki. Tylko kawa. Ludowa mądrość, detoks po niedzieli.

– Jaka szkoda. – Nie uwierzyła. – Miałam nadzieję, że napijemy się wina już dzisiaj.

– Zobaczę, co da się zrobić. Idziemy? Pisałem, że mam samochód bez dachu.

– Bardzo się cieszę. Pojedziemy z rozwianym włosom pod słońcem Sycylii.

– Kto z włosiem, ten z włosiem. Będziesz musiała zdjąć kapelusz.

– Oczywiście. A ty nadal jesteś łysy? Co za konsekwencja.

– Pozwolisz, że zostanę w czapeczce? Ośłania oczy.

– Idziemy. A tak w ogóle, nic się nie zmieniłeś.

Wpakował walizkę Gai na tylne siedzenie, które służyło mu wyłącznie za bagażnik. Zastanawiał się wcześniej, jakie uczucia mogą towarzyszyć temu spotkaniu. Może rozczarowanie, może irytacja, może zniecierpliwienie i skrępowanie obecnością gościa, który de facto sam się wprosił, sam zwałił mu się na głowę, uwzględniał też możliwość bardziej neutralnych doznań, jak przypływ nostalgii, choć raczej nie był skłonny do nostalgii, albo przynajmniej powiew tajemnicy, bo przecież cel jej wizyty pozostawał ulotny, a w najlepszym wypadku, bo kto to wie, radość ze spotkania po latach. Nic z tych rzeczy. Jedyne, co poczuł, a poczuł to, gdy tylko zobaczył ją z bliska, jedynym uczuciem, jakie go ogarnęło, był czystej postaci zachwyt. Z domieszką zainteresowania, ale przede wszystkim zachwyt. Zaniepokoiło go to. A jednocześnie podekscytowało.

– Ładny ten twój Jeep. I jaki czyściutki. Zawsze masz taki czysty samochód?

– Nie, tylko kiedy odbieram z lotniska miss północy.

– Czyli raz na dwa tygodnie? Mniej więcej?

– Raz na dziesięć lat. Jedziemy?

Otworzył Gai drzwi po stronie pasażera, a kiedy zajęła miejsce i zapięła pas, nadal stojąc przy otwartych drzwiach, pochylił się w jej stronę i powiedział:

– Ja też chciałem ci powiedzieć, że nic się nie zmieniłaś. Nawet ćwiczyłem to przed lustrem, na wypadek gdybym musiał kłamać. Ale nie muszę. Przeciwnie.

– Dziękuję. Zawsze prawileś mi zgrabne komplementy. Okropnie przesadzałeś, ale to i tak było bardzo miłe. Lubiłam twoją bezpośredniość.

– Ale nie pojedziemy bezpośrednio do mnie. Jesteś głodna, Gaj? Proponuję zatrzymać się gdzieś nad morzem i coś przekąsić. Bo wiesz, jesteśmy na Sycylii.

– Gaj? Tylko ty tak do mnie mówiłeś i nigdy tego nie zapomniałam. A jak wymawiają tutaj twoje imię? Chyba jest im bardzo trudno, prawda?

– W ogóle go nie wymawiają. Tam, gdzie teraz mieszkam, nikt nawet nie wie, jak mam na imię. Mówią na mnie Polacco, od zawsze, odkąd się pojawiłem. Przyzwyczailem się do tego i ty też możesz mnie tak nazywać. To taki nowy ja.

– Polacco. – Gaja się uśmiechnęła. – Podoba mi się. Pasuje do ciebie. Polacco – powtórzyła, przez chwilę zamyślona. – A odpowiadając na twoje pytanie, to tak, chętnie, nie jadłam nic od rana. I napiję się czegoś zimnego, gorąco tu jak na pustyni...

– Bo sąsiadujemy z pustynią, dzieli nas tylko morze. Jedźmy już.

– Jesteś tu dziesięć lat, naprawdę? Dałabym głowę, że krócej.

Nie pojechał przez Alcamo, wybrał drogę gorszą, ale bardziej atrakcyjną widokowo, nie był tylko pewien, czy jest utwardzona na całej długości. Jego atlas samochodowy miał tyle lat, ile lat tu mieszkał, a nie miał pojęcia, jak się sprawdza trasę w telefonie, nigdy wcześniej nie było mu to potrzebne. Droga okazała

się wąska i zaniedbana, ale okolica, którą mijali, przypominała nieco „słoneczną Italię”, ziemia była uprawiana, mijali nawet pojedyncze winnice, ale tak marne, że trudno było uwierzyć w ich winiarski potencjał. Gaja zdjęła kapelusz, jak tylko wyjechali z lotniska, i trzymała go na kolanach. Włosy miała długie o tej bajecznej barwie, nazywanej w kraju pszeniczną, tutaj nie słyszał, by ktoś określił włosy słowem *grano*, ale też mógł się założyć, że nikt na całej Sycylii nie ma podobnych włosów. Szybkim ruchem zebrała je gumką w koński ogon i uśmiechnęła się do niego spod ciemnych okularów. Upał stał się nieco bardziej znośny, za to kiedy oddalili się od miasta, Jeep zaczął wzniecać tabuny kurzu.

Zadała mu po drodze kilka zdawkowych pytań, ale szum powietrza nie ułatwiał rozmowy, z czego wcześniej nie zdawał sobie sprawy, bo prawie zawsze jeździł sam. Mijał żalosne wioski, puste i brzydkie, zwalniał tylko na chwilę, uważając na zwierzęta, zwłaszcza koty, które przy każdym ludzkim skupisku przebiegały przez drogę. Minął zabytkowe, ale pozbawione klimatu Salemi, tam odbili prosto na południe, ku morzu, które jednak nie ukazywało się ich oczom praktycznie do ostatniej chwili. To był jego przebiegły plan, najpierw dojechać do morza tam, gdzie teren jest zupełnie płaski, budować efekt zaskoczenia przed zaprezentowaniem widoku z jego wzniesienia. Zjechał do Marinelli, bliskość wybrzeża sygnalizowały tam nieco bogatsze wille na przedmieściach, nikt by nie zbudował podobnych domów w środku suchego pustkowia. Wąskie uliczki, brzydkie budynki, jasne tynki odbijające słońce, jakby go było mało. A potem nagle lazur i powiew, i koniec drogi, nabrzeże w Marinelli – wąskie,

o niskiej zabudowie, dalekie od marzeń o wakacjach – zapraszało ze wstydliwą skromnością do kilku knajpek rozlokowanych wzdłuż wąskiej plaży, anemicznej jak cała reszta.

Zaparkował przed pustawą restauracją, w której podawano owoce morza, zapamiętał ją z kilku poprzednich wizyt, ale jej wybór był dziełem przypadku – wszystkie restauracje wkoło były pustawe i we wszystkich podawano owoce morza. Wyjął z siedzenia walizkę Gai i poprosił o jej przechowanie mężczyzną za barem. Był to chyba najdroższy lokal w okolicy, co wcale nie znaczyło, że drogi – na tej części wybrzeża nie było drogich lokali. Wyróżniał się białymi obrusami na tle konkurencji nakrywającej stoły ceratami w kratkę. Przyjemnie było usiąść wreszcie w cieniu płóciennego zadaszenia i odetchnąć soczystym morskim powietrzem. Od fal oddzielała ich tylko wąska plaża, nikogo na niej nie było.

– Uwielbiam szum morza – powiedziała Gaja i rozpuściła włosy.

– To będzie ci się u mnie dobrze spało. Trochę jak w latarni morskiej.

– Chyba masz tam fajny widok, prawda? Oglądałam z samolotu wyspy, nie wiem jakie, dwie albo trzy, przed samym lądowaniem. Pięknie to z góry wyglądało.

– Wyspy Egadzkie, mało kto o nich pamięta, ale właśnie tam zakończyła się pierwsza wojna punicka, wielka bitwa morska. Nie pytaj o dokładną datę, trzeci wiek przed naszą erą, Rzymianie dali łupnia Kartagińczykom, co tamtych zresztą wcale nie zniechęciło. Potem była druga wojna punicka, ta z Hannibalem i ze słoniami...

– Zaczekaj z wykładem. Ktoś tam mieszka? Wyglądały na puste, ale widziałam jachty.

– Garstka ludzi, rybacy i pasterze. Łowią tuńczyka i wypasają kozy. Szkoda, że mnie wcześniej nie zapytałaś, mogliśmy podjechać na górę do Erice, to tylko chwila z lotniska, a widać całe Trapani i te wyspy, kilka na pewno. Jachty są tu wszędzie.

– Wspaniale. A ty jaką masz łódkę?

– Pamiętasz te wielkie białe jachty motorowe z *Bonda*?

– No pewnie!

– To nic z tych rzeczy. Ale zapraszam cię na przejażdżkę, warto zobaczyć Sycylię z morza, nawet jeśli nie wypłyniemy zbyt daleko. No i z wody ładnie widać mój dom.

– Nie mogę się doczekać, żeby go zobaczyć.

Podszedł kelner, mężczyzna w średnim wieku, położył karty, nałał z karafki wodę do szklanek i oddalił się bez słowa. Menu było tylko w języku włoskim.

– Powiesz, co my tu mamy? – Gaja wskazała kartę.

– Wszystko. Tu zawsze jest wszystko. Pytanie brzmi, na co masz ochotę. Proponuję wybrać pastę i wypić kawę, może jakiś deser. W domu zjemy kolację, sam ugotowałem co nieco na twój przyjazd. Nie rób takich oczu, bardzo lubię gotować. Jak zresztą wiesz, nie wiem skąd, ale chyba wiesz, prowadzę kawalerskie życie. Teraz wezmę *scoglio*, takie miejscowe spaghetti z owocami morza, pychota, zresztą za każdym razem dostajesz coś innego. *Catch of a day*. I do tego kieliszek białego wina. Co ty na to?

– Hm, brzmi zachęcająco. A jakieś owoce lądowe tu mają?

– W sensie wege czy w sensie czworonogi?

– W sensie czworonogi. Takie same z nich owoce jak z krewetki.

– A ty z Europy i taka niemodna? My tutaj jemy wszystko z morza.

– Nie mam ograniczeń kulinarnych. A co, tu nie Europa?

– Nie wygłupiaj się. Sycylia przetrzymała Greków, Rzymian, Arabów i Normanów. Nie mówiąc o Królestwie Obojga Sycylii. Wyobrażasz sobie tę dumną wyspę ze stolicą w Neapolu? Ale Neapol to była obelga i nie wybaczyli jej, a Bruksela to dla nich żart.

– Widzę, że identyfikujesz się z tym miejscem. Nowe hobby historyczne?

– Darowałem ci inwazję Fenicjan... Wandalów i Ostrogotów... No i Kartagińczyków.

– A czego oni tu szukali? Co ich tak wszystkich przyciągało?

– Lokalizacja. – Zorientował się, że za dużo gada. Nadal był nieco spięty, za to mógł się wykazać znajomością realiów. Poza tym naprawdę „identyfikował się z tym miejscem”. – Ta wyspa ma najbardziej skomplikowaną historię na świecie, ponieważ leży tu, gdzie leży. Czyli w samym środku wszystkiego. Kto ma Sycylię, rządzi Morzem Śródziemnym, a kto rządzi Morzem Śródziemnym, ten rządzi światem. Przynajmniej wtedy tak to sobie wyobrażano. Dzisiaj marzy im się inwazja turystów, ale rozejrzyj się...

Byli sami. Co prawda sezon turystyczny właśnie się skończył, lecz otoczenie wyglądało przygnębiająco. Kurorty zwykle zieją pustkami po wakacjach, ale Marinella to nie kurort. Wybrzeże było tu płaskie, ich stolik stał niemal na poziomie morza. Nie wytrzymałby w takim miejscu tygodnia. On, człowiek z płaskowyzu nad urwiskiem.

– Zdaję się na ciebie. Ja jem wszystko, od homara po tatara.

– Na tatara trzeba pojechać do Chianti, a to aż we Włoszech.

Gaja przeglądała kolorowe zdjęcia potraw w jadłospisie. On skupił się na karcie win, wybór nie był wielki, ale absolutnie esencjonalny – docenił to.

– Tutaj panuje kult sardynki, który zresztą w pełni podzielam. Podobnie jak kult tuńczyka czy miecznika. Sardynki na mój widok umykają ławicami w stronę Sardynii. Nieszcześnie. Z deszczu pod rynnę... Chociaż to lądowa przenośnia.

– Domyślałem się, że korsarze umykają na Korsykę?

– Brawo! Zaczynasz się orientować.

Kelner wrócił, przyjął zamówienie na dwie porcje *scoglio*, jakby nic innego i tak nie wchodziło w grę, i z uznaniem pokiwał głową przy wyborze wina. Gaja rozejrzała się po plaży, po której szły dwa psy, wyglądały na pogrążone w rozmowie.

– Poprosiłem o wino z Menfi, to bardzo dobra mieszanka i bardzo lokalna, a to jest tutaj najważniejsze. Lokalny patriotyzm kulinarny nigdzie nie jest bardziej uzasadniony.

Jedli w milczeniu. Wznieśli szybki toast za spotkanie, jakby nie widzieli się od tygodnia, a nie od dziesięciu lat. Przy kawie omówili wrażenia z posiłku. Small talk, ale tak było zręcznie. Wyglądasz zachwycająco – chciał jej powiedzieć, ale na to było stanowczo za wcześnie.

– Czym chata uboga – podsumował. – Smakowało?

– I to jak! I zakręciło mi się w głowie po tym winie, było wspaniałe. To bardzo miłe, kiedy lokalne znaczy najlepsze, a nie odwrotnie. Ale wcale się im nie dziwię.

– W niebie nie zamawia się dostaw z czyścica.